



ROBIN WASLEY

Zombie

(podobno)

są

martwe



ENDORFINA



Rozdział 1

Kiedy w Wellsie pada, widać duchy.

Tak nazywamy pozostałości po tym, co dawno minęło, pozostałości zagrzebane w ziemi ze wszystkim innym, co umarło. Niegdyś była tu magia. Zostawiła nam te maleńkie ślady.

Rzecz w tym, że jesteśmy miastem turystycznym. Ludzie chcą to sprzedać.

Tak samo dzieje się w każdym miejscu usytuowanym na linii uskoku, chociaż zgromadzona energia może się manifestować w różny sposób. Na Syberii niektórzy dostają zawrotów głowy. Spada temperatura, dęba stają wszystkie włoski na ciele – i w końcu cały człowiek przewraca się na bok jak mała kóзка. Widziałam takie gify. Na Alasce para bucha z ziemi, ilekroć ta się poruszy. Powstaje naturalna sauna o zapachu melasy, róż albo palonego drewna – w zależności od tego, kto niucha. Chodzi mi o to, że jeśli ktoś chce stanąć w miejscu, gdzie pod ziemią spoczywa zapieczętowana magia, ma dziesiątki opcji do wyboru.

Ludzie przyjeżdżają do Llewellyn – Wellsie – ponieważ nasze „duchy” wyglądają jak tęcza. Poza tym mamy góry i masę innych przyjemności.

To ważne, ponieważ nasza reputacja kultowej wakacyjnej miejscówki bezpośrednio wpływa na mój dobrostan fizyczny i psychiczny.

Na przykład wtedy, gdy Wellsie postanawia urządzić potop iście apokaliptycznych rozmiarów. Oczywiście, wycieczki po linii uskoku odbywają się nawet w deszczu. Ale ponieważ w taką pogodę nici z tradycyjnych wędrówek, campingów i pływania kajakami, wszyscy pozostali cały dzień przesiadują w naszej kawiarni. A to oznacza dla mnie masę roboty.

Kiedy wycieram ściereczką dyszę parową, kłęb gorącej pary strzela w górę, osiada na okularach i rozwiewa kędziory wokół twarzy. W filmach ludzie zawsze wycierają okulary, spoglądając w dal i pogrążając się w rozważaniach. W rzeczywistości robi się to, kiedy człowiek zda sobie sprawę, że przygotował złe zamówienie i rozważa wady oraz zalety wydania go klientowi mimo wszystko.

Ludzie przedzierają się przez obłok pary i obsiadają wszystkie stoliki; niektórzy zatrzymują się przy oknie i wycierają parę na szybie, by popatrzeć na deszcz. U Lulu to nieduże miejsce i wystarczy chwila, by z przytulnego stało się zatłoczone. Kolejka klientów ciągnie się aż do drzwi, gdzie na niedbałej kupce zrzucano parasole. Muszę się bardzo powstrzymywać, żeby nie krzyknąć: „O, wiewiórka!”, dzięki czemu lokal opustoszałby w pięć sekund. To wszystko

wina dzieciaków z college'u, bo to one karmiły je przez te wszystkie lata. Teraz wiewiórki stanowią postrach społeczeństwa, nie boją się niczego, włożą po nogawkach i wyrywają bajgle prosto z dłoni.

Kawiarnia U Lulu jest pełna dzień w dzień, odkąd zamknęło się Sugar, Sugar. Można u nas dostać porządną kawę, ale Sugar, Sugar znacznie nas przewyższało pod względem wypieków. Miało na uwadze dobro klientów. Obsługa nosiła najprawdziwsze identyfikatory z imionami. Ja też mam identyfikator, ale nie napisano na nim „Sid Spencer”, tylko „Cześć, mam na imię oto twoja kawa, spadaj”. Stoimy sobie za ladą, gapimy się w przestrzeń, prawie nic nie robimy i krzywimy się, ilekroć rozbrzmiewa dzwonek do drzwi. Jestem niemal pewna, że Joe specjalnie zatrudnia osoby ucieleśniające przeciętność. Akurat tego ranka, kiedy spowolnionymi ruchami piłam kawę, którą zaparzyła moja matka (typowy skowronek), zapytałam, jak jej wyszła taka doskonała – mocna, ale nie za mocna. A ona mi na to: „Proporcje”.

Oj tam, oj tam. Nie należę do skowronków, a to oznacza, że zaczynam ogarniać życie mniej więcej godzinę przed pójściem spać. Niektórzy wyskakują z łóżka gotowi mierzyć się z dniem. Inni budzą się i szlochają w poduszkę: „Nie umiem się z tobą rozstać”. Moja była przyjaciółka, Nell, rzuciła kiedyś: „Jeśli się nie wysypiasz, jak masz być najlepszą wersją siebie?”. Może nie mam najlepszej wersji siebie. Może mam tylko jedną, bez żadnych epitetów, tę wersję, która bierze ostatniego nachosa, kiedy wszyscy inni są zbyt dobrze wychowani, by go zgarnąć.

Wokół mnie mnożą się zamówienia, a ja bez szczególnego zaangażowania lattam wte i wewte, często ziewając i wykańczając piankę nie tą posypką, co trzeba.

Nasze potrzeby w zakresie realizacji oczekiwań gości rosną dziesięciokrotnie wraz z odejściem wiosny i lata, gdy w miasteczku nadchodzi pora deszczowa. Utrata choćby jednej z dziesięciu milionów kawiarni w Wellsie oznacza, że nas obsiadą. Potrzebujemy Sugar, Sugar jak kania dżdżu. Potrzebujemy miejsca, do którego turyści będą chodzić z żądaniem mleka owsianego. Młodzież z college'u musi gdzieś chodzić, zamawiać jedną małą kawę i siedzieć cały dzień z laptopem.

W chromowanej powierzchni ekspresu do kawy odbija się moja wykrzywiona twarz, czerwona, spocona, z włosami dosłownie wszędzie. Przypominam sobie wszystkie te momenty, gdy patrzyłam w lustro bez okularów. Miękkie krawędzie sylwetki, okrągła twarz, bułczkowate ciało – wypisz-wymaluj ptyś. A w okularach: to samo.

W książkach jest dość bohaterów, którzy patrzą na siebie w lustrze, bym miała pewność, że wszyscy tak robią i nie powinnam się z tym czuć dziwnie. Ale dziewczęta w książkach robią tak i widzą, że są białe, pełne nieświadomionej urody. Moje doświadczenie jest inne: gapię się na moje odbicie i widzę, że jestem Koreanką, która może uszłaby za średnio funkcjonującą istotę ludzką, gdybym nie była zbyt leniwa, żeby wziąć prysznic. Człowiek z kręconymi włosami ma dwie życiowe drogi:

- 1) Myć je, czesać na mokro (**NIGDY NA SUCHO**), spędzić dwie godziny na leżeniu na podłodze z grzywą rozłożoną tak, by wyschła naturalnie i stanowczo nie wystawiać ich na działanie czynników zewnętrznych. **NIGDY**.
- 2) Nie myć ich i pogodzić się z obecnością gniazda na głowie.

Dzisiaj wybrałam tę drugą opcję. To świadczy o moim stanie emocjonalnym.

– Sara! – krzyczę, gdy podłoga zaczyna drżeć, a razem z nią kubek, który ustawiłam na ladzie odbiorczej. Przytrzymując go jedną ręką, czekam, aż drgania ucichną. Natychmiast da się odróżnić turystów od miejscowych w oparciu o to, kto z zapartym tchem urywa w pół zdania, a kto niewzruszenie spożywa ciasteczka, tak że słyszymy tylko chrupanie i mlaskanie.

Jakaś kobieta w koszulce z napisem „**WELLSIE. TU DZIEJE SIĘ MAGIA**” – Sara, jak mniemam – łapie się obiema rękami lady, by odzyskać równowagę. Na szyi ma aparat, który wygląda na ekstremalnie ekskluzywny. Gdy ziemia przestaje się trząść, patrzy na mnie wielkimi oczami.

– Często się tak zdarza?

Wzruszam ramionami.

– Dość często. Jak na każdej linii uskoku. Przyzwyczajai się pani.

Nieświadoma tych wszystkich klientów mrozących mnie spojrzeniem, gdy kolejka rośnie z każdą chwilą, kobieta szepcze złowieszczo:

- Czy to magia próbuje się wydostać?

- Magia nie jest w stanie się wydostać – tłumaczę na tyle cierpliwie, na ile pozwala mi siedemnaście lat doświadczenia. – To, co pani widzi i słyszy, to tylko echo...

- Ale Strażnicy wciąż mają magię – zauważa pospiesznie. Dociera do mnie, że popełniłam błąd, angażując się w tę rozmowę. – Mogą otworzyć linię. – Nachyla się do mnie i patrzy, właściwie nie mrugając. – Widziałas kiedyś jakiegoś?

- Widziałam wielu przebierańców – odpowiadam, próbując ustalić, czy to jedna ze zwolenników teorii spiskowych, którzy przyjeżdżają tu przekonani, że wszyscy w mieście mają jakieś supermoce i tylko to ukrywają.

Jej przejęty uśmiech gaśnie.

- To musi być wspaniałe, dorastać tutaj – próbuje, nawet nie zamierzając odejść. – Pamiętać, że niegdyś magia była tu wszędzie.

Owszem, była, a ludzie jej nadużywali, więc trzeba było ją na wieki zamknąć w ziemi, ale kto by się przejmował.

Joe, menedżer kawiarni – który traktuje klientów jak gówno w sposób budzący niezmiennie mój podziw – staje obok mnie i piorunuje Sarę spojrzeniem. Joemu jeszcze mniej niż mnie podoba się fakt, że wszyscy przychodzą do Lulu.

- Dostała pani kawę – warczy. – Proszę iść.

Ludzie czasem uważają go za zabawnego – a to nigdy się dobrze nie kończy. Na szczęście Sara wydaje się należycie urażona i robi w tył zwrot, mamrocząc pod nosem, że następnym razem pojedzie do miasta na linii z lepiej wychowanymi tubylcami.

- To w Iowa jest rewelacyjne - informuje jej plecy nie-wzruszony Joe, po czym spogląda znacząco na niekończący się szereg kubków obok mnie. Joe nigdy nie był w Iowa, bo nikt nie jeździ do Iowa, chyba że zostanie porwany i trafi tam w bagażniku. A jednak poleca je wszystkim w nadziei, że już nie wróca.

Dzwonek nad drzwiami rozbrzmiewa ponownie. Do środka wchodzi dwie kolejne osoby.

Zamieram na moment niczym jeleń na widok światła samochodu. Nie wiem, co ze sobą zrobić.

On kręci głową i wszędzie lecą krople, a ona osłania przed nimi twarz i śmieje się melodyjnym śmiechem, który słyszę pomimo gwaru rozmów.

„To musi być wspaniałe, dorastać tutaj. Pamiętać, że niegdys magia była tu wszędzie”.

Ale większość z nas nie należy do Strażników. Nie mamy mocy. Nie wybrano nas do strzeżenia Kluczy ze świętej kości. Tak sobie żyjemy, zupełnie zwyczajni, widząc tylko to, co pozostało. Wspomnienie tego, co straciliśmy.

Wracają mi funkcje życiowe. W jednej chwili znowu zajmuję się obsługiwaniem ekspresu.

Sądziłam, że nie przyjdą.

Mielę kawę, udając, że mielę kości. Obserwuję espresso kapiące do filiżanki jak czarną krew. Pienię mleko, aż zaczyna przypominać pianę ciekącą z ust kogoś, kto właśnie został otruty. Moje serduszka w pianie przypominają krzywe ły.

Żadne z nich nie zamawia latte. Nie wykrzyknę ich imion.

Włosy Nell urosły, ale wciąż są idealnie proste i jedwabiste. „Patrz, też mam loczek”, powiedziała mi kiedyś. „To naelektryzowany kosmyk”, odpowiedziałam. „To nie samo”. Ona wtedy w zadumie przechyliła głowę i stwierdziła: „Szkoda, że nie mam włosów jak Blackpink”.

„Musiałabyś mieć hordę stylistów latających za tobą dwadzieścia cztery na dobę”. Nie to chciałam powiedzieć. Chciałam powiedzieć, że ja też żałuję, że nie mam takich włosów. Że w takim mieście Koreanka musi być jak dziewczyna z Blackpink albo będzie nikim. Żadnych opcji pośrednich.

Finn też ma dłuższe włosy, w tym samym odcieniu blond co ona. Jego oczy są bardziej zielone, jej – niebieskie, ale i tak wyglądają jak dobrani modele z agencji. Kiedyś czytałam artykuł o tym, że pary upodabniają się do siebie i że ludzie wybierają partnerów o podobnym poziomie atrakcyjności. Nie wyjaśniono tam, jak się mierzy ten poziom.

Gdy pochyla głowę, lekki rumieniec barwi jej policzki. Finn sięga ręką przez stół, by zdjąć kosmyk z jej twarzy. Uśmiecha się przy tym, jakby ona była najcenniejsza na całym świecie.

Skupiam się na bursztynowych promieniach nade mną i na wypisanym kredą menu na ścianie, czytam nazwy i ceny. Miejscowa artystka prezentuje masę aktów wróżek.

A potem wbijam wzrok w imię na kubku z kawą, który trzymam w dłoni. Oddech na chwilę zamiera mi w płucach. Adam O'Brien. Oczywiście, że on tu jest.

– Adam? Mam latte dla Adama? – mówię drżącym głosem. Brzmi to jak pytanie. Brzmi, jakbym się bała.

Potężny rudowłosy chłopak podchodzi do lady. To nie fair, że jesteśmy w tym samym wieku, a on już tak wyrósł. Zawsze narzeka, że robię za gorące latte. Nie ośmiela się narzekać Joemu – wie, że wtedy dostałby lodowate mleko z kilkoma ziarenkami kawy dryfującymi na gorze.

Kiedy nie odchodzi od razu, zmuszam się, by rzucić mu spojrzenie, mam nadzieję, ponure i niechętne, które pewnie wygląda, jakbym zmagą się z zaparciami. On tymczasem patrzy na mnie w ten sposób, ten, w który się patrzy, kiedy dajesz komuś do zrozumienia, że coś o nim wiesz. Jego wzrok jest jak światło reflektora padające na mnie w całości i odkrywające mnie nie tylko przed nim, ale przed wszystkimi. Teatralnym gestem odwraca kubek i patrzy na swoje naskrobane imię.

– Sprawdzam, czy nie ma wyznania miłości do grobowej deski – rzuca. – Podobno to twoja specjalność.

Pewnego razu Adam strzelił do linii uskołu. Pocisk odbił się rykoszetem, a on stracił ucho. Stanowczo nie powinien wyśmiewać niczyich decyzji.

Może zapytam, czy pamięta naszą ostatnią rozmowę, po tym, jak zaprosił Nell na randkę. Pokażę mu, że też wiem o nim coś, czego by nie chciał.

Prawdę mówiąc, na tym świecie istnieją dwa rodzaje dziewcząt: te, które zaprasza się na randki, i te, które odpuszczają chłopaków dla swoich przyjaciółek. Pierwszym chłopakiem, którego oddałam Nell, był Dave Wrenn

– moja pierwsza miłość, w drugiej klasie. Nie był też ostatni. Nigdy jej o tym nie powiedziałam, ani razu. Takie rzeczy trzyma się w tajemnicy przed ładnymi ludźmi. Ale dać Adamowi kosza było łatwo, trochę jak zrzucić pierwszaka ze schodów w koszu na śmieci. Chociaż byłam delikatna. To nic nie dało. Nigdy nie zapomniał, że to ja go upokorzyłam, a nie Nell.

Unosi kącik ust, lecz nie w uśmiechu.

– List, który dałaś Warrenowi, bawił nas kilka tygodni. Ale spójrzmy na to z pozytywnej strony: teraz przynajmniej ludzie wiedzą o twoim istnieniu.

No tak, wcześniej byłam „przyjaciółką Nell”. O to mu chodzi, a wbita szpilka sprawia, że w oczach stają mi łzy. Jego uśmiech rozszerza się w triumfalnym wyrazie.

– Joe – odzywam się z wyraźnym trudem. – Adamowi O’Brienowi nie smakuje kawa.

Joe wyłącza młynek i odwraca się do Adama. W dłoni zaciska łyżkę. Łyżka to niezbyt groźny przedmiot, ale ścisnąca ją pięść czerwienieje gwałtownie. Joe bardzo serio traktuje skargi na kawę. Z oczu Adama znika rozbawienie.

– Coś nie tak z pańską kawą? – warczy Joe.

Adam patrzy na niego ponuro, ale nie odpowiada.

Joe mruży oczy.

– Tak właśnie myślałem. Poszedł stąd.

Adam się oddala, lecz na odchodne chichocze złośliwie w moim kierunku.

To, co się mówi o szkole średniej i plotkach, to sama prawda. Kiedy już człowiek zostanie „tą laską”, to łatka się

do niego przyklei. Oczywiście można być znanym z gorszych rzeczy. Mogłam być tym gościem, który dostał erekcji podczas prezentacji o Chinach w ósmej klasie. Erekcje spontaniczne się zdarzają – moim zdaniem to mogło spotkać każdego. Gdybym miała penisa, bankowo to przydarzyłoby się mnie. Chodzi o to, że – czy to fair, czy niekoniecznie – nigdy się od tego nie uwolni. Ja jestem tą dziewczyną, która napisała sześciostronicowy list miłosny do Finna Warrena i nigdy nie będę nikim więcej.

Czuję spojrzenie Nell, nim jeszcze spotkam jej wzrok. Nie uśmiecha się. Przez jej twarz coś przelatuje, lecz znika zbyt szybko, bym mogła rozszyfrować ten cień. Mówi coś do niego, do Finna. Gdy on odwraca głowę, ja już patrzę w inną stronę, a w gardle mam gulę, której nie mogę przełknąć.

Może Nell za mną tęskni.

„Przykro mi, że jesteś zła”, powiedziała wtedy tym swoim cichym głosem. To nie były przeprosiny, chociaż miała łzy w oczach i bała się na mnie patrzeć. „Nic nie poradziemy na to, kto nam się podoba”.

Nell jest cicha na swój sposób – wydaje się, że zauważy cię tylko wtedy, gdy uzna cię za osobę godną jej czasu. Jeśli cię polubi, czujesz, że udało ci się coś udowodnić – i zaczynasz bardziej lubić siebie. To czysta psychologia, przez lata się tym zajmowałam. Może jestem podręcznikowym przykładem.

Tymczasem jak człowiek jest przeciętny, to i łatwo się do niego zbliżyć; ludzie okazują sympatię i z nim rozmawiają. Nawet jeśli to nie jego chcą.

Poznała go dzięki mnie. Praktycznie z nim nie rozmawiała przez całe miesiące.

Po raz kolejny spoglądam ukradkiem na ich stół przy oknach. Zniknęli, a jednak pozostał ciężar ich obecności. Muszę wyrzucić po nich stół i stojak, na którym oparł futerał gitary. Kubki po kawie zostawili na blacie zamiast wrzucić je do śmietnika. Można nie znosić ludzi, którzy tak robią, prawda?

Czy tęsknię za Nell? To głupie pytanie, jeśli się kogoś poznało w pierwszej klasie i było nierozłącznymi od tamtej pory. Dekada.

Zbieram jej pusty kubek. Kawa o smaku waniliowym posypana cynamonem.

Finna Warrena poznałam, kiedy brał udział w open micu* w tej właśnie kawiarni. Przegadaliśmy cały wieczór. Byłam jego pierwszą kumpelą w mieście.

„Mam wrażenie, że mógłbym ci opowiedzieć o wszystkim”, mówił wtedy. Ja to samo myślałam o nim, chociaż pół roku później list wydawał się łatwiejszą formą.

Łatwiejszą – póki nie dowiedziała się o nim cała jego drużyna koszykówki. Póki nie dowiedzieli się wszyscy.

A kiedy zaprosił Nell na randkę, dowiedziała się i ona.

To, czego nikt inny nie wie o Nell, to to, że nie jest zimna ani nieprzystępna, tylko chorobliwie nieśmiała. Najbardziej

* Rodzaj wieczorku w kawiarni/pubie/innym lokalu, gdzie każdy może spontanicznie, w zależności od charakteru spotkania, przedstawić skecz lub zaśpiewać piosenkę (przytłum.).

na świecie boi się wstydu. Na przykład, że cały dzień będzie chodzić w koszulce na lewej stronie.

Albo że wszyscy będą się na nią gapić i z niej śmiać.

To zrobił mi Finn.

Tęsknię za Nell. Tęsknię za nią cały czas. Ale ona dokonała wyboru.



Przed kawiarnią nie ma ani śladu mojego brata, Matty'ego, chociaż jego zmiana w Hunt and Hike kończy się o tej samej porze co moja.

Wellsie to nieduże miasteczko, ale od czasu napaści na tle seksualnym w Hampton College w zeszłym roku matka nie chce, żebym chodziła sama po nocach. Sytuację pogorszył fakt, że ostatnio oglądała wiadomości i dowiedziała się, że czterdzieści minut drogi stąd znajduje się ku-klux-klanowa stolica stanu, efektem czego moja biała matka boi się teraz wszystkich białych. Nie ma problemu, tylko że Wellsie jest zarabianie białe. Czyli tak teraz wygląda moje życie.

Stoję pod arkadą, kryjąc się przed deszczem, i sprawdzam SMS-y, w płonnej nadziei, że moja siostra – Ella – postanowi nas podwieźć. Ostatnia wiadomość to śliniąca się emotka w odpowiedzi na moje stwierdzenie, że mam książkę, którą chciała pożyczyć z biblioteki. Rzucam szybkie spojrzenie na ulicę, w kierunku Hunt and Hike, po czym postanawiam się ruszyć, zanim deszcz przybierze na sile. Matty mnie jakoś dogoni.

Odwracam się i w ułamku sekundy pełnym ciemności wpadam prosto na kamienną ścianę, która pojawiła się znikąd. Wpadam twarzą.

Widzę białe światła na czarnym tle. Przez szok przebiega się ból.

Tak wygląda śmierć.

Mam otarty nos. To nawet nie zadrapanie, tylko walnięcie na pełnej prędkości. Do oczu napływają mi łzy i rozmazują resztkę widoku.

Czyjaś dłoń łapie mnie za ramię, dzięki czemu nie przewracam się do tyłu. Inna chwytą okulary, zanim zdążą spaść mi z nosa. „Ściany nie mają rąk”.

– Przepraszam – mamrocze, obmacując przy tym nos, żeby sprawdzić, czy nie wystaje żadna kość.

Potrzebuję chwili, by otrząsnąć się po ciosie, który najwyraźniej zadała mi czyjaś klatka piersiowa. Na swoją obronę muszę powiedzieć, że wszyscy wysocy ludzie są dla mnie ścianami, ponieważ ich klatki piersiowe znajdują się na wysokości mojej twarzy.

A on pewnie często wali głową we framugi i, na ten przykład, drzewa.

Przez mgiełkę łez widzę szczupłego białego chłopaka w koszulce Sugar, Sugar skrytej pod bluzą z kapturem. Ja mam na sobie koszulkę U Lulu. Jesteśmy rywalami. Może powinnam go wyzwać na taneczny pojedynek.

Wycieram to coś mokrego z oczu i widzę spoglądającego na mnie z góry Briana Astera. Brązowe włosy przylepiły mu się do czoła, ociekając deszczem. Czasem trudno

opisać twarze, ponieważ są szalenie niecharakterystyczne. Twarz Briana trudno opisać, ponieważ jest charakterystyczna – ostre linie i kąty. Na przykład nos: ostry, trójkątny. Na przykład brwi: idealnie poziome. Poza tym patrzy właśnie wprost na mnie. Dopiero kiedy natykam się na ten niepokojący, niebieski wzrok, na tę ciemnoniebieską głębię, za którą nic nie dostrzegam, dociera do mnie, że nikt, absolutnie nikt nie patrzy wprost na człowieka. Chyba że Miś Paddington. Miś Paddington zawsze łązi po okolicy i roz-daje przenikliwe spojrzenia.

Napis Sugar, Sugar pełną zawijasów czcionką niezbyt zgrywa się z jego aurą: wytatuowaną i z przekazem „sam sobie ścinam włosy”.

Wtedy sobie przypominam.

„To Brian Aster. Muszę coś powiedzieć”.

Wszyscy wiedzą, co zaszło. Robiliśmy zbiórki ubrań, chodziliśmy kwestować z puszkami, słaliśmy kwiaty i kartki.

Kiedy Matty skończył akademię Mountain Ridge, elitarną szkołę, do której ja stanowczo nie chodzę, Brian był o klasę niżej. Nie znam go ani jego przyrodnych sióstr, tylko z widzenia.

Wcześniej w duchu narzekałam na to, że Sugar, Sugar się zamknęło, bo jestem najgorszą osobą na świecie.

Nigdy nie rozmawiałam z Brianem. Chyba że liczyć zamawianie kleistych bułeczek co sobotę. A już na pewno nigdy nie rozmawiałam z nikim, kto przeżył tragedię. Warianty rozmowy są ograniczone i przerażające: wszystko

będzie dobrze, nic się nie dzieje bez przyczyny, co nas nie zabije, to nas wzmocni. Ale czasem nie ma pozytywnych stron. Czasem to, co nas nie zabije, okaleczy nas na resztę życia.

Brian też nigdy ze mną nie rozmawiał. W milczeniu wręczał mi wszystkie kleiste bułeczki i wcale mnie za to nie osądzał. Zatem to niezbyt fair, że nie mówię mu nic miłego, tylko warczę:

– Patrz, jak chodzisz.

Unosi jedną brew.

– Wybacz.

Och... to ja w niego wpadłam. Ale to on czał się w ciemności. Zakładam za ucho samotny kosmyk, nie wiedząc, co innego mogłabym zrobić. A kosmyk i tak wyłazi.

Brian pochyla się, żeby pozbierać książkę i telefon, które upuściłam podczas zajścia.

„O mój Boże”.

Unosi obie brwi, patrząc na okładkę *Wczoraj macał mnie wampir* – a potem znowu na mnie.

Stanowczo muszę wyjechać poza granice stanu. To jedyne, co mi pozostało.

– Dzięki – mówię, wydierając mu z rąk jedno i drugie.

– No to – zaczyna Brian, jak gdyby nigdy nic – byłem właśnie w Hunt and Hike. Matt chciał, żebym ci powiedział, że masz nie wracać do domu sama. Musiał zostać dłużej, ma klienta, ale twoja siostra jest już w drodze i zgar nie stąd was oboje.

Patrę na Hunt and Hike, dwa budynki dalej.

– Moja rodzina panicznie się boi, że po nocy złapią mnie gwałciciele albo biali rasiści.

Wyraz twarzy Briana nie zmienia się ani o jotę.

Naprawdę nie chciałam, żeby to zabrzmiało, jakbym podejrzewała go o bycie jednym lub drugim. Ale tak wyszło.

Spogląda na mnie, krzyżując ramiona na piersi.

– Matt opowiadał, że kiedyś poszłaś zjeżdżać na sankach w górach, tam, gdzie wstęp był wzbroniony – rzuca nonszalancko. – Akurat przejeżdżał strażnik na skuterze śnieżnym, a ty zamiast uciec do lasu razem z resztą, padłaś na ziemię i udawałaś martwą. A skoro teraz nie leżysz nieruchomo na chodniku, uznaję, że nie czujesz się zagrożona.

– Nie czuję się zagrożona – odpowiadam, bardziej wściekła na Matty’ego, że komuś powiedział o tej sytuacji, niż że powiedział to Brianowi Asterowi. – Dzięki za info.

Opadam wzdłuż ściany pod okno kawiarni, tam, gdzie chodnik jest suchy. A on, zamiast odejść, opuszcza tę swoją długą, szczupłą sylwetkę na ziemię ze dwa metry ode mnie.

„No dobra...”

W ciszy wybijam rytm dłońmi na kolanach.

– Nie musisz tu czekać – wyrzucam. – Nie jestem bezbronna. Mam nadopiekuńczą rodzinę. Parę lat temu chciałam biegać, ale mama kazała mi nosić naklejone na koszulce fluorescencyjne gwiazdki, póki nie załatwiła kamizelki odblaskowej. Straszny wstyd. Przestałam biegać...

Brian przyszpila mnie spojrzeniem.

– Nie sądzę, żebyś była bezbronna. Może nie mam lepszego zajęcia.

– No dobra. – Zmuszam dłonie, by przestały wybijać ten głupi rytm. – Nie wiedziałam, że kumplujesz się z Mattym. Kupowałaś od niego zioło czy coś?

Marszczy brwi.

– Taaak, Spencer, bo oczywiście dilujemy w Hunt and Hike.

– Myślałam... – Spoglądam na niego z powątpiewaniem. – Wybacz. Hunt and Hike to znaczy poluj i wędruj, a ty nie wyglądasz, jakbyś robił coś z tych rzeczy.

– Może stale poluję. I wędruję – odpowiada. – Nie znasz mnie.

Ma rację. Wiem, że muzykuje, a ludzie w mieście powiadają, że jako dziecko miał wielki talent. Wiem, że jego ojciec był właścicielem Sugar, Sugar. Wiem, że jego rodzice zginęli trzy miesiące temu.

– Przepraszam – powtarzam miękko.

– Nie poluję. I nie wędruję – przyznaje.

Nie umiem odczytać wyrazu jego twarzy, gdy spogląda przed siebie.

Nawet w ciemności widać widma linii uskoku, a to z powodu deszczu. Wiją się, są przezroczyste niczym fale termowizyjne, lśnią jak rozlana benzyna i nieproszone wyłażą spod chodnika. Tęcze z dymu. Obiektywnie rzecz ujmując, widzę, że są piękne. Rozumiem, dlaczego turyści tu przychodzą.

Cisza wisi wokół niczym wilgoć zastała w powietrzu. Gęsta, nieco niezręczna.

Ręce oparł na kolanach. Spod rękawa, na wewnętrznej stronie nadgarstka, tuż przy dłoni wygląda tatuaż: efy, takie otwory rezonansowe jak w skrzypcach. Obie jego dłonie znaczą blade ślady poparzeń od piekarnika. Kiedyś pracował w Sugar, Sugar. Razem z ojcem.

Turyści sądzą, że pozostałości w Wellsie to dowód, iż magia nigdy nas nie opuściła. Ale na co się nam zda ta magia, skoro świat tak daje nam w kość.

– Eee – zaczynam. – Wszystko... w porządku?

Czeka, co powiem dalej. Spogląda na mnie pytająco, ale nie tak, jak to robią normalni ludzie, ani uprzejmie, ani ze zniecierpliwieniem. Unosi jedno ramię w stronę ucha, jakby szykował się na cios.

On wie, co zaraz powiem. Musiało mu się to przytrafić niezliczoną ilość razy w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Obcy rozmawiający z nim po raz pierwszy w najgorszym momencie jego życia.

„Chciałby rozmawiać dosłownie o czymkolwiek innym”.

– Gdybyś był Strażnikiem, jaką supermoc chciałbyś mieć? – wypalam, bo to proste pytanie, no i to coś, o czym wszyscy w którymś momencie myślimy. Co by było, gdybyśmy mieli unikatowe zdolności, wyjątkowe tylko dla nas, tak jak oni? Tak jak kiedyś wszyscy. Kiedyś – wtedy, gdy magia była jeszcze wolna.

Przymyka oczy, rzęsy prawie muskają mu policzki. Milczy przez dłuższą chwilę, opierając głowę o ścianę.

– Jak dziwnie by to zabrzmiało, gdybym powiedział, że nigdy żadnej nie chciałem? Że chciałem w życiu tylko grać

na skrzypcach i żyć względnie komfortowo? – Nie czeka na moją odpowiedź. – A może liczyłaś, że odpowiem: moc wskrzeszania zmarłych?

Nie tak to planowałam.

– Nie – odpowiadam zbyt szybko. – Liczyłam, że... nie wiem... może chciałbyś mieć moc instalowania kieszeni w każdym kobiecym ciuchu. Albo zamieniania koni w jednorożce.

– Jednorożce to tylko konie z rogiem na pysku.

– No tak, to mordercze konie. Kto by nie chciał morderczego konia?

Nie odpowiada, ale jeden z kącików jego ust się unosi. Wiem już, że on by chciał, gdyby miał taką możliwość.

– Chcesz babeczkę z masłem orzechowym? – pytam.

Znowu otwiera oczy i patrzy na mnie tak, że mam ochotę naciągnąć kaptur na twarz. Barki jednak się rozluźniają. Po raz pierwszy spostrzegam sine cienie pod jego oczami.

– Tak, chcę.

W milczeniu czeka, aż wygrzebię z kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego torbę ze słodkimi babeczkami.

Kiedy wręczam mu słodkości, nie wygląda już na taką surową osobę, tylko na gościa z babeczką z masłem orzechowym w ręce. Ciekawi mnie, czy mierzy sobie długość rzesz linijką, żeby potem się nimi chwalić przed wszystkimi znajomymi.

Je i czekamy, patrząc, jak deszcz tworzy kałuże na ulicy. Tego wieczoru powietrze wypełnia mgiełka, nadając

światłu latarni sferyczny poblask. Światło nie płynie, lecz unosi się nad ziemią.

Kilka minut później kładę przed nim kolejną babeczkę. Tę też zjada.

- Co sądzisz o białej czekoladzie? - pytam.

- Moim zdaniem to nie czekolada - odpowiada.

Biorę go za rękę i wkładam w nią sześć kolejnych babeczek.

Kiedy Ella staje przed nami w białym jeepie i trąbi pięć razy, radośnie i głośno, na co oboje odpowiadamy miazdzącym spojrzeniem, Brian się podnosi. Spogląda na mnie, wyciąga rękę, wnętrzem dłoni do góry. Patrzę na niego, niepewna, w końcu przybijam piątkę.

Odchrząkuje, co brzmi jak śmiech kogoś, kto nie nawykł do śmiechu. W końcu pochyla się, łapie mnie za nadgarstek i jednym lekkim ruchem stawia mnie na nogi.

„Och”.

- Dzięki - odpowiadam i czuję się jak ostatnia idiotka.

Chociaż natychmiast mnie puszcza, wciąż czuję uścisk jego dłoni, czuję, jak stygną na mnie odciski jego palców. Pomiędzy łopatkami przebiega dreszcz i po raz pierwszy dociera do mnie, jak rześki jest ten wieczór.

Wciąż stoi i na mnie patrzy, gdy w deszczu przebiega Matty, odgarniając z czoła wielobarwne, zroszone deszczem włosy.

- Sorki, zatrzymało mnie omawianie wszystkich możliwych marek kuchenek turystycznych. Jestem pewny na sto procent, że Chester Graves to prepper szykujący się

na apokalipsę. W sumie to przyznał, że ma na podwórku schron... – milknie, spogląda szybko na Briana, na mnie, znowu na Briana. – Cześć.

Brian kiwa do niego głową.

– Hej.

– Eee, podwieźć cię gdzieś? – pytam Briana.

– Nie trzeba, dam radę – mówi w tym samym momencie, w którym Matty odpowiada:

– Nie trzeba, da radę.

Mrugam, spoglądając na brata. W milczeniu wymieniamy spojrzenia w ewidentnym stylu „czemu się tak zachowujesz”.

Niezmałym tonem Brian dodaje:

– Do zobaczenia, stary.

Do mnie kiwa głową, a potem wychodzi spod łuku prosty na deszcz.

– To było niemiłe – mamroczę do Matty’ego.

– Nie powinnaś z nim łączyć.

A ponieważ nigdy nie był takim starszym bratem, cała się jeżę.

– Niby czemu?

– To dobry chłopak – mówi szybko Matty, choć przez jego twarz przemyka ponury, obcy cień. – Ale nie chcesz się w to wplątywać.

Zanim zdołam zapytać o cokolwiek więcej, Matty rzuca mi okrągłe zawiniątko w folii, w którym natychmiast rozpoznaję moje ulubione burrito, znane też jako Fasola Mocy. Nagle jest trzy kroki ode mnie, otwiera już drzwi

auta, a nasza rozmowa dobiegła końca. Typowy odwrót.

1) Rzuć mi coś, żeby w jednej chwili uruchomić tryb pani-

ki. 2) **JEDZENIE.**

Gdy jednak śledzę wzrokiem odchodzącego w dal przygarbionego Briana z pochyloną pod strugami deszczu głową, zastanawiam się, o co chodziło Matty'emu.



Sid Spencer ma siedemnaście lat, z pochodzenia jest Koreanką i podobnie jak jej rodzeństwo – Matt i Ella – została adoptowana przez małżeństwo z Ameryki.

Mieszkańcy Wellsie mawiają, że magia była kiedyś wszędzie i była dobra. Niestety, wiedzą też, że potrafi wydobyć z człowieka to, co najgorsze – dlatego lepiej trzymać się od niej z daleka. By wszyscy mogli czuć się bezpiecznie, ustanowiono strażników, którzy posiadają mityczne klucze do wrót magii i mają moc jej kontrolowania. Problem polega na tym, że nikt nie widział żadnego z nich.

Pewnego dnia Sid zauważa, że jej brat Matty nagle się zmienia, odbiera dziwne telefony, wymyka się z domu. Wkrótce okazuje się, że został wybrany na jednego ze strażników i musi wziąć na siebie ogromną odpowiedzialność.

Gdy niespodziewanie ktoś otwiera przejście i magiczna moc wymyka się spod kontroli, potężne siły zaczynają zagrażać mieszkańcom miasta.

Czy strażnicy ujawnią się i powstrzymają zniszczenie?

Czy Matt podejmie właściwe decyzje?

Co stanie się z Sid i jej bliskimi?

**Na granicy światów czyhają siły,
których na pewno nie chcesz poznać.**



/WydawnictwoEndorfina



/wydawnictwoEndorfina



/wydawnictwoendorfina

ISBN 978-83-8231-457-1



9 788382 314571

MT2403E
Cena 59,90 zł

